

Patologie nauki polskiej

Tadeusz Szubka

W interesującym tekście o kondycji nauki polskiej prof. Jan Woleński zwraca uwagę, że „projekty reform nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce notorycznie nie biorą pod uwagę prawidłowości obecnych w środowisku naukowym jako populacji statystycznej”. W pełni zgadzam się z tą tezą, tym bardziej że nietrudno zauważyć, że każdy następny projekt owych „reform” jest coraz dziwniejszy i zmierza na ogół nie do poprawy kondycji nauki polskiej, lecz do uwzględnienia partykularnych interesów określonej grupy nauczycieli akademickich (na ogół tzw. nieudaczników, którzy nawet w cieplarnianych warunkach „długiej rury” mają kłopoty z przetrwaniem) czy sektora wyższego szkolnictwa prywatnego, który w polskich realiach zakorzenił się jak jemiola na drzewie państwowego szkolnictwa wyższego (co sankcjonuje i wspomaga obowiązująca ustawa o szkolnictwie wyższym, która zezwala na tzw. wieloetatowość). Na marginesie dodam, że już samo sankcjonowanie czegoś takiego jest z punktu widzenia prawodawstwa wielu krajów, i to przez dokument tej rangi, czymś nie do pojęcia, bo zatrudnienie pracownika naukowego i naukowo-dydaktycznego na pełnym etacie oznacza na ogół prawo instytucji zatrudniającej do dysponowania całotygodniowym czasem pracy owego pracownika (dobrze pamiętam surowe pouczenia, jakie w tej sprawie otrzymywałem kilkanaście lat temu, kiedy w jednym z uniwersytetów australijskich obejmowałem dwuletnią posadę *postdoca*).

Prof. Woleński na podstawie uwag o kiepskiej kondycji nauki polskiej, biorącej pod uwagę wspomniane prawidłowości, proponuje poprawić ją w następujący sposób: „Trzeba rozrzedzić tzw. samodzielną kadrę naukową i stworzyć warunki dla konkurencyjności i rywalizacji”. Zagwarantować ma to stała liczba stanowisk czy etatów, która nie ulega zwiększeniu wraz z awansem naukowym oraz większa mobilność kadry akademickiej. Również podzielam tę opinię. Kłopot tylko w tym, że potrzebna jest do tego zmiana mentalności, gdyż w Polsce na zmianę akademickiego miejsca pracy patrzy się z dużym podejrzeniem, traktując zwykle tego, kto porywa się na ten krok jako człowieka konfliktowego, a nawet kogoś, kto „zdradził” swoją macierzystą uczelnię. Zupełnie inaczej jest w wielu krajach zachodnich, w których zasiedzenie w jednym miejscu pracy odbierane jest źle, jako coś wymuszonego przez brak ofert z innych uniwersytetów czy placówek naukowych. Ponadto do mobilności w Polsce nie zachęcają stosunkowo niewielkie różnice w uposażeniu oraz obowiązkach dydaktycznych.

Stała liczba stanowisk czy etatów wymuszałaby konieczność rzeczywistych konkursów oraz drobiazgowej oceny dorobku kandydatów przez ekspertów zewnętrznych, które są bardzo pracochłonne i w wielu krajach anglosaskich zabierają członkom komisji sporo czasu (przykładowo, na dobrą posadę z filozofii w USA, czyli taką, która prowadzi do zatrudnienia na czas nieokreślony, zgłasza się zwykle ok. 300 kandydatów). Doprowadzenie do stworzenia odpowiednio obiektywnych mechanizmów w tym zakresie w Polsce, w której rozpowszechniło się „ustawianie” konkursów, „załatwianie” posad, a w razie takiej czy innej próby podważenia wyników postępowania „konkursowego” zaślanianie się „samorządnością” czy „autonomią” rad instytutów, wydziałów czy senatów, będzie bardzo trudne (śmiem nawet przypuszczać, że wręcz niemożliwe – czy ktoś na serio dopuszcza myśl, że w jakiejś polskiej uczelni dziekan lub rektor w celu zachowania bezstronności powoła komisję mającą rozstrzygnąć konkurs na stanowisko profesora lub kierownika zakładu lub katedry, która będzie składała się wyłącznie z osób, które w danym uniwersytecie nie pracują?).

Prof. Woleński zastanawia się też nad tym, w jaki sposób przyspieszyć rozwój młodej kadry, aby zapobiec starzeniu się grona profesorskiego. Osobiście uważam i mam nadzieję, że prof. Woleński przynajmniej częściowo podzieli moje zdanie, iż w wypadku humanistyki odpowiedzią nie jest wcielenie w życie idei tzw. uniwersytetów flagowych ani system grantów bardziej dostosowany do potrzeb prowadzenia badań empirycznych, organizacji laboratoriów badawczych itp., lecz system długoletnich stypendiów badawczych w postaci miesięcznej i w miarę wysokiej pensji, które będą pozwalały osobom wyłonionym w drodze rywalizacji na rezygnację na okres dwóch, trzech lub nawet pięciu lat z dydaktyki i administracji uniwersyteckiej oraz poświęcenie całego czasu na napisanie monografii lub serii rozpraw. Systemy takie funkcjonują z powodzeniem w wielu krajach, w tym także w Australii, której władze chcą w ten sposób powstrzymać emigrację kadry naukowej do USA i skłonić tych, którzy już wyemigrowali do powrotu). Na razie na nic takiego się jednak nie zanoszą. Póki co ten, kto chce koniecznie prowadzić badania z humanistyki w Polsce, musi korzystać z osobliwego systemu grantów Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w którym przyznaje się stosunkowo niewielkie kwoty i jeszcze niekiedy bardzo nieracjonalnie rozłożone na poszczególne lata (niżej podpisany na realizację grantu indywidualnego w roku bieżącym otrzymał kwotę – to nie żart – 1000 zł).

Rzecz jasna, system takich stypendiów, które mogłyby być przyznawane przez projektowane Narodowe Centrum Nauki, niczego nie zmieni bez eliminacji „długiej rury” z jej cieplarnianymi warunkami. Dobrze wiadomo jakimi ostrymi regułami rywalizacji kieruje się anglosaski rynek akademicki. Reguły te sprowa-

dzają się do odpowiedniego systemu nagród i kar, a także oferowania kontraktu na czas nieokreślony (*tenure*) – jeśli w ogóle to nastąpi – dopiero po kilku lub kilkunastu latach pracy młodego doktora. To prawda, że młody pracownik żyje przez jakiś czas w stanie skrajnej niepewności, bojąc się, że jeśli nie weźmie aktywnego udziału w dziesięciu konferencjach rocznie i przez kilka lat nie opublikuje kilkunastu artykułów lub jednej książki, to podzieli los wielu swoich kolegów, którzy musieli rozstać się na zawsze ze szkolnictwem wyższym lub w najlepszym razie wylądowali w jakimś dwuletnim podrzędnym kolegium, w którym nauczają przez pięć dni w tygodniu. Oczywiście, istnieje ryzyko, że taka wymuszona aktywność naukowa będzie miała nikłą wartość albo że po osiągnięciu upragnionego zatrudnienia na czas nieokreślony zostanie zaniechana. Tego pierwszego nie da całkowicie wykluczyć, a to drugie jest psychologicznie mało prawdopodobne: zdecydowane warunkowanie młodych doktorów przez lat kilka lub kilkanaście zmienia na ogół na całe życie ich rytm pracy i nawyki.

Jeśli natomiast chodzi o emigrację, to uważam, że kondycja nauki polskiej jest tak kiepska, iż jeszcze przez bardzo wiele lat nie uda się zatrzymać odpływu najzdolniejszej kadry naukowej do krajów anglosaskich, a w szczególności do USA. Sam często zachęcam filozoficznie uzdolnionych młodych ludzi do takiej częściowej emigracji, sugerując im po szybkim doktoracie w Polsce, drugi „prawdziwy” doktorat w pierwszoligowym lub drugoligowym uniwersytecie amerykańskim. Bo tam nie tylko będą mieli dostęp do znakomicie wyposażonych bibliotek, lecz będą uczestniczyli w odpowiednio ich rozwijających seminariach badawczych i na co dzień będą mieli kontakt z profesorami, którzy prowadzą zajęcia przez kilka godzin w tygodniu, a przez resztę czasu (zwykle przez 6 dni w tygodniu) przesiadują od rana do wieczora w swoich gabinetach, pracując nad nowymi książkami i artykułami, regularnie uczestniczą w życiu naukowym swojej jednostki itp. Tymczasem polski profesor zarażony bakcylem dwuetatowości, albo rzekomo „zmuszony” do wieloletowości z powodów finansowych, wpada zdyszany na uczelnię, aby – najlepiej w jednym dniu – odbębnić swoje zajęcia, rezerwując następne dni na pozostałe miejsca pracy. Uważam, że reformę polskiego szkolnictwa wyższego należałoby rozpocząć od eliminacji tej patologii. Jednakże radykalnych zmian w tym zakresie nie należy się spodziewać, gdyż najnowszy *Projekt założeń reformy systemu nauki i szkolnictwa wyższego* z 16 kwietnia b.r., pełen dziwacznej nowomowy oraz zawierający absurdalny pomysł zniesienia habilitacji i zastąpienia tego szczebla kariery akademickiej certyfikatami dającymi „uprawnienia promotorskie”, wspierany jest bez wątpienia przez lobbing sektora szkół prywatnych, z którego, jak zauważa prof. Woleński „pochodzi obecna minister naszego resortu”. Nie dziwi zatem, że w projekcie tym wspomina się jedynie nie-

śmiało o długoterminowej perspektywie „ograniczania dwuetatowości na polskich uczelniach”. Lobbyistom kryjącym się za tym projektem dobrze bowiem wiadomo, że bez tego „dobrodziejstwa” większość polskich szkół prywatnych nie mogłaby istnieć. Sankcjonowanie patologii musi zatem trwać.